

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus

Teofil Lenartowicz

Miłość nam dźwigać pomaga ciężary,
I do zwycięstwa dodaje nam wiary;
Miłość nadzieją serca nasze krzepi,
Miłość nas uczy wciąż, że będzie lepiej...
Tylko nie bacząc na doczesne nędze
Snuć nam tę miłość, jak anielską przędzę,
Każdemu dniowi dać promyk téj wiary,
I téj miłości gorącój, bez miary,
I taką drugich ożywiać nadzieją,
W której najcięższe zwątpienia topnieją. —

Oczyrna, usta, i dłońmi i rany
Świadczyć o Tobie, nad świat ukochany!
W boju, to w boju; — a w ciszy, to w ciszy,
A niech wciąż serce Boże głosy słyszy.
Bez téj miłości, wszystko z ręku leci,
Bez téj miłości słońce się nie świeci,
Słowo rzucone przejdzie jak wiatr lekki,
Albo jak kamień spadnie na dno rzeki.
Bez téj miłości daremne zasiewy,
Nic bo na ziemi nie zbudują gniewy; —
Czyliż kto widział, żeby gniew co spłodził...
Ten stworzył światy, kto wszystko pogodził,
I tak urządził to całe stworzenie,
Że mu posłuszne na każde skinienie
I jak świat wielki i jak wieczność długa,
Gwiazdnie na drodze nie zastąpi druga.
Słońce ze słońcem w drodze się nie spotka,
I wciąż na niebie taka zgoda słodka,
A wszystko dziełem Wszchemocnej prawicy.
To patrzmy jasno, Boży miłośnicy,
I z tą miłością co nam kości grzeje,
Niech pastuch pasie i niech rólник sieje,

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, [Teofil Lenartowicz](#)

Kapłan się modli, pracuje uczony,
I żołnierz staje do kraju obrony. —
Wesołem sercem Bóg chce być chwalony,
Z wesołem sercem, bez próżnej obawy,
Idźmy po drodze różanej, czy krwawej,
Z wieczną nadzieją, jako słudzy Boży,
A wesołości téj wróg się zatrwoży
I rzecze: jakoż zwyciężyć mi one,
Których w skonaniu lica uśmiechnione,
Którzy nie patrzą, jeno słowa wiary,
I Boże niosą na czele sztandary?
I tak im konać łącno, jak się rodzić,
Przychodzić na świat, jak ze świata schodzić.
Jak tu cień rzucić oczom ich weselnym,
Jak tu śmierć zadać ludziom nieśmiertelnym?
Bo śmierć, — najmilsi braciszku moi!
Temu jest straszna, kto o siebie stoi;
Śmierć — bracia moi — to nie zejście z świata,
Ale téj Bożej miłości utrata,
Ale ten smutek, co wysusza kości,
Ale ta zawiść i te niemiłości,
Ale te gniewy, co siły rozwodzą,

Ale te słowa, które w braci godzą,
Ale ta susza, ten brak wiary świętej,
Ale ta pycha, w którą dmie przeklęty! —
Dopóki człowiek czuje że jest Boży,
Na śmierć nie zważa, złęgo się nie trwoży,
I idzie śmiało na przebój z niedolą,
Wiedzion nie swoją, ale Bożą wolą;
Ale jak tylko świętą miłość straci,
Nie kocha Boga i nie kocha braci,
Wtedy on żyje, choć lepiej — by nie żył...
Błogosławionyż, kto w Boga uwierzył,
I tak szczęśliwy, że jakby był w niebie,
Bo oko Ojca świata ma na siebie,
I tak swobodnym uczuwa się panem,
Jakby w jasności niebios był odzianym,
I jakby u nóg Jezusa zasiadał,
I na pierś Pańską skronie swe pokładał,
I jakby słuchał dźwięku świętej stróny:
Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony!

Niech będzie pochwalony!

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, [Teofil Lenartowicz](#)

Przed chatą siedział staruszek sędziwy,
Jak szczapa wyschły, jak gołąbek siwy,
Ukrywszy lice w swoje dłonie obie,
Siedział na sosze i wciąż dumął sobie;
Dumał o życiu, co mu przeszło w pracy,
O wierze w Boga i o wiecznej płacy,
I wdychał czasem, poczem podniósł głowę,
I od ogrodu przywołał synowę:

— Idźcie po księdza, bo mie niestać na to,
Ostatni dzionek siedzący przed chatą;
Już mi na drogę nogi nieposłużą,
A z Dobrodziejem mam pogadać dużo.
Coś mi się widzi, że jutro jak świty,
Trza zdać rachunek za ten wiek przeżyty,
To radbym grzechy wszystkie zrzucić z siebie,
Bo jak grzesznemu pokazać się w niebie?...
Niechby Dobrodziej wziąwszy chłopca z dzwonkiem,
Przyszedł ze starym rozmówić się Jonkiem.
Dobra niewiasta zadziwiona rzecze:

— Co też po głowie snuje wam się człeczce
Czyście to chorzy, czy wam się co stało?
Héj Janie, Janie! co wam się przydało?
Nie obrażajcie próżno Pana Boga;
Już to nikogo nie minie ta droga,
Gdy Pan Bóg zechce trudność się ta spierać;
Ale skąd wam się przyśniło umierać?
Czerstwy jak rydzyk, a siwy — bo stary,
A gdyby nie to, niktby nie dał wiary,
Że wam niewiela braknie do stu latek.
Ot, chwalcie Boga na swych dni ostatek,
Że was do końca opatruje zdrowiem.

Synowo moja! cóż ja ci odpowiem.....
A tak ci pewno, że nim słońce wstanie,
Już ja na wieczne odejdę mieszkanie,
Tak mi coś prawi, więc słuchać potrzeba,
Bo to przestroga ze samego nieba.
Wczora i dzisiaj, gdziekolwiek się ruszę,
Het mi coś szepce: pamiętaj na duszę...
Héj, Janku, Janku! przypomnij swe grzechy,
Bo powędrujesz rychło z pod téj strzechy.

Kiedyć już trzeba, tedy żartów niema,
Trzeba po księdza, gdy grób przed oczyma.
Myśląc o życiu nieraz się zapocę,
Chodzić nie mogę, jeno się dygocę,
I niemoc jakaś trzyma mnie u ławy,
Lecz nie ze strachu, bo Jezus łaskawy
I Matki Bożej najświętsze panieństwo,
Do której wielkie miałem nabożeństwo.
Chałupę zdałem od dawna na dzieci,
Na was też reszta przypada rupieci,
Kozuch barani, dwoje białych świtek,
I trochę grosza, — to i skarb mój wszytek.
Za co do ziemi sprawicie mi skrzynkę,
Księdzu za duszę też na wypominę,
I za śmierć lekką na podziękowanie,
Na świecę z wosku z tego grosza stanie,
Na Święty Józef, jako wie świat wszelki
Że to jest patron od skonania wielki.

— Ha! kiedyć chcecie toć i nic nie szkodzi,
Jeżeli człowiek z Bogiem się pogodzi.
Wszak się zdarzało, że śmiertelnie chorzy

Wyspowiadawszy się wstawali z łoży,
I szli do pracy i dość mieli siły
Gdy ich niemocy bóle opuściły.
To cóż dopiero wam, coście na sile,
Tylko że starzy, to i jeno tyle...
Będziecie żyli tatuś jeszcze z nami,
Za roczek, za dwa, dziewczynę wydamy,
I Bóg najświętszy raczy nam to sprawić,
Że nam będziecie i to błogosławić. —
Już ci prawnucząt dwoje w pole biega.
A ta ostatnia dziewczucha u brzegu.

Po licach dziadka uśmiech się przewinął,
Potem zadumał się i ręką skinął; —
Popatrzał w pole gdzie orał, gdzie siewał,
Gdzie kosił, woził i wesoło śpiewał;
Ziemia ojцова czarna, jak stół równa,
W jasnym od słońca blasku, jak królówna;
Most na strumieniu i wierzby nad drogą,
I het daleko — choć pusto a błogo.....
Przypomniał sobie, że owym gościńcem,
Gdy żona panną, a on był młodzieńcem,

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, [Teofil Lenartowicz](#)

Chodzili razem, czy to na jarmarki,
Czy na odpusty do Czerska, do Warki, —
Ona już dawno u Boga na łonie...
Potem staremu zatętniało błonie,
I stanął hułan z chorągiewką szytą.....
Potem okrutne zboże, jęczmień, żyto, —
Potem wesela, — miodu pełne dzbanki, —
Potem dożynki, — potem pohulanki. —
Potem jak szczęścił synowój dziewczeczce,
Bas okruteczny i skrzypek na beczce...
I począł śmiać się do owych wspominek,
Aż go znów zaćmił wieczny odpoczynek,
Bo wraz posmutniał, łzą powiekę zrosił,
Jakby za grzechy odpuszczenia prosił. —

Tymczasem proboszcz także jak ów dziadek,
Janowój pracy, pocziwości świadek,
Wiedząc z kim sprawa, że to człek coś warty,
Jako nie czynił w życiu nic na żarty,
Bo od chłopięcia miał szczególny statek,
W bitwach i w pracy i około dziełek,
Którego duszę znał jak swoją własną,

I wiedział jako zawdy była jasną,
Tak jako wyszła z Przedwiecznego dłoni, —
Wziąwszy ampułkę i chłopca co dzwoni,
Ruszył z kościoła modlitwy mówiący,
Głowę chylący, na świat nie patrzący;
I szedł do chaty a dzwonek podzwaniał,
I jaki taki przed Bogiem się kłaniał.
Bo gdy ksiądz idzie, świat ogarnia skrucha,
I polne ptastwo zamilka i słuca;
Jaskółka nawet świegotna przysiada,
I zda się ziemia cała pacierz gada...
Zboże kłosami chyli się do ziemi
I cisza między brzozy płaczącymi,
I nieme bydle żuć przestawszy trawę,
Leżąc, spogląda na tę dziwną sprawę.

Po przywitaniu w zwyczajnym sposobie, —
Dwaj staruszkowie zasiedli przy sobie.
Chwilkę milczeli, a po małej chwili,
Chłopiek się święcie u nóg księdza schyli,
I ośmielony słowami pociechy,
Pocznie wyliczać swego życia grzechy;

Każda mu w oczach staje sprawa płocha,
Nad każdą pustą myślą się zaszlocha,
A ksiądz go cieszy: miej nadzieję w Panie,
Bądźcież spokojni, przyjacielu Janie. —

— Skończył, — nie długie było tam gadanie, —
Bo żywot biednej, pracowitej kmieci
W polu i boju, czyściuchno przeleci,
Wiatry i deszcze myją grzeszne ciało,
A anioł duszę, gdy w nią napadało;
Wszędzie są złości, — i kto grzechów niema? —
Ale ten najmniej, kto się roli trzyma,
I pod tym krzyżem, który pola strzeże,
Myśl o Jezusie w dobre serce bierze;
Krzyżem się w polu stojącym pociesza,
Na krzyżu wszystkie swe nędze zawiesza.

Po rozgrzeszeniu, staruszkowie biali,
Jak przyjaciele dwaj się uściskali,
I proboszcz rzecze, łzy ścierając w skrusze:
— Prościesz tam Janie i za moją duszę,

A przysposóbcie miejsce mnie grzesznemu. —
I znowu z dłońmi pochylił się k'niemu.
Pocziwy starzec żałości zaniechał,
Jeno się na krzyż patrzący uśmiechał,
I coraz ręce podnosił tak święcie,
Jakby na tego Baranka objęcie...
A w tém mu znowu przyszła myśl frasowna,
I jakaś dziwna troska niewymowna.

— Mój Dobrodzieju! już-ć mi nic nie trzeba,
Kiedy mówicie że pójdę do nieba,
I że mieć będę nad sobą opiekę;
Jeno widzicie, — cóż ja prostak rzekę,
Kiedy już stanę przed Majestat Boży?
Co to człek powie? — jak usta otworzy
Wśród tylu świętych i ślicznych aniołów,
Ja, taki prostak zwyczajny od wołów,
Com jeno z ptaki i ze zwierzem gwarzył,
Jakżeby w niebie odezwać się ważył? —
Otóż mnie teraz to największą troską! —
Co ja tam powiem przed jasnością Boską?...

— Mój Dobrodzieju! już-ć mi nic nie trzeba,
Kiedy mówicie że pójdę do nieba,
I że mieć będę nad sobą opiekę;
Jeno widzicie, — cóż ja prostak rzekę,
Kiedy już stanę przed Majestat Boży?
Co to człek powie? — jak usta otworzy
Wśród tylu świętych i ślicznych aniołów,
Ja, taki prostak zwyczajny od wołów,
Com jeno z ptaki i ze zwierzem gwarzył,
Jakżebym w niebie odezwać się ważył? —
Otóż mnie teraz to największą troską! —
Co ja tam powiem przed jasnością Boską?...

A proboszcz rzecze: cóż się mówić godzi,
Kiedy się między dobrych ludzi wchodzi?
Oto, skłoniwszy się na wszystkie strony,
Mówi się: *niechże będzie pochwalony...*
— Toć prawda, prawda! — staruszek zawoła, —
Z dziwną jasnością pogodnego czoła,
Z podniesionemi do góry ramiony:
Niech będzie Jezus Chrystus pochwalony! —

Nazajutrz rano, przed księżemi wroty,
Stały schylone po ojcu sieroty;
Pomiędzy brzozy i topole wonne,
Niosąc ofiarkę księdzu na podzwonne,
I o modlitwy za zmarłego prosząc;
A ksiądz oblicze łzy rześnemi rosząc,
Rzecze: nie płaczcie! doła jego błoga,
Jako był w łasce szczególnéj u Boga. —
Już ci on w niebie, — już on tam szczęśliwy! —

A gdy to mówił, z nad zielonéj niwy,
Do okna księdza, pod schylony daszek,
Przyleciał śliczny w złotych piórkach ptaszek,

I począł w okno pukać małym dziobem,
I ten sam ptaszek nad Jankowym grobem,
Kiedy ksiądz ciało do mogiły święcił,
Z drzewka na drzewko ustawnie się kręcił: —
A gdy już trumnę ziemia przysypała,
Owa ptaszyna kędyś się podziała, —
I tylko głosik dolatywał z góry,
Jak gdyby śpiewał ptaszek złotopióry. —

Florencya, dnia 15. Maja 1862.